

— Katty, ty wiesz przecie, że mnie obecnie prócz mej podróży i mojej roli nic nie interesuje!...

— Nawet to, że pan Morton wrócił?...

Alicya spojrzała na nią.

— Wrócił... do swojej pracowni... do siostry... o! jak to dobrze...

Radosne wzruszenie wyjrzało jej z oczu.

— Więc naprawdę wrócił?...

— No tak z tego zakładu dla wariatów...

— Uznano go za zdrowego?

— Tak.

— I jest już u siebie w domu.

— E, gdzie tam w domu!... wrócił do więzienia...

— Do więzienia!...

Alicya ciężko opadła na fotel, jakby jej nogi odmówiły posłuszeństwa.

— I... co się z nim dzieje?...

— Miss Molly była wczoraj u niego...

— No i...

— Biedna panienska!... Ona szaleje wprost z rozpaczy, bo brat powiedział jej...

— Co takiego?!

— Że to on z wszelką pewnością zamordował, i że za to odpokutować powinien...

Alicya tak niespodzianie, tak nerwowo skoczyła na równe nogi, a oczy jej takim dziwnym ogniem pałały, że Katty cofnęła się przerażona. Zdawało się dziewczynie, że jej pani zwaryowała...

— Ach! Boże... gdybym była wiedziała, że to panią tak bardzo zdenerwuje...

— I on upiera się cagle przy tem wyznaniu winy — chociaż jest przy zdrowych zmysłach!... Nie powinni go byli jeszcze z Zakładu wypuszczać!...

— Pan Morton twierdzi, że teraz już nie tak było... Nieprzytomny z miłości i zazdrości poszedł do mieszkania pana Macmorrisa i sam nie wiedząc o tem zabił go!...

— To nieprawda!... nieprawda!...

— Proszę pani, przecież chyba on sam najlepiej wie...

— Chce umrzeć!... gubi się dobrowolnie, ale kłamie!... I zanim prokurator wniesie oskarżenie... — mówiła Alicya gorączkowo już nie do Katty, ale do samej siebie — zanim on stanie przed sądem...

Ost y dźwięk dzwonka.

— Masz tobie — wizyta!... teraz!... kiedy tyle jeszcze pakowania!... Zobacz, Katty, kto to taki!... I naturalnie niema mnie w domu — dla nikogo!...

Katty wyszła i powróciła po chwili.

— Ktoż to?...

— To jakaś pani...

— Chyba nie mis Morton?

— Ależ nie, To jakaś starsza pani. Mówi, że była u miss Morton i koniecznie chce widzieć się z panią. W żaden sposób nie chce ustąpić. Wie, że pani jest w domu. — To jakaś bardzo dystygowana dama — w grubej żałobie...

— W żałobie?

— Tak. I cóż mam jej powiedzieć?

— Proś.

— Może do salonu? Tutaj taki nieporządek dzisiaj.

— Wszysko jedno. Proś tę panią tutaj.

Na progu ukazała się wyniosła postać kobiety, otulonej w czarną krepe. Z pod żalobnych welonów spojrzała na Alicyę twarz z koroną srebrnych włosów nad czołem — o rysach regularnych i pięknych, ale surowych i cerze przywiedle, sieciami zmarszczek porysowanej.

Alicya od razu poznała, że ma przed sobą matkę Roberta... Te same energicznie nakreślone usta, ten sam pięknie rzeźbiony nos, to samo spojrzenie bystre, rozumne, wnikiwe... Tylko z twarzy matki życie starło już barwy młodości i przygasiło płomień wzroku.

— Ach! więc to pani!... — w głosie sędziwej kobiety brzmiał pełen zachwytu podziw, a jednak Alicya pobladała...

— Alicya Belmore... — przedstawiła się lekko drżącym głosem.

— Jestem matką Roberta Macmorrisa...

— Domyśliłam się... — wyszeptała artystka zbielełymi wargami.

— Podobny był do mnie prawda?... Mój biedny, biedny chłopak...

Spojrzenie matki Roberta, pomimo, że żywcze, dręczyło artystkę. Odwróciła nieco głowę, aby swemu gościowi nie patrzeć prosto w oczy.

— Pani raczy usiąść...

Pani Macmorris usiadła na fotelu.

— Pani wybaczy, że ją niepokoję... Byłabym ją oddawna odszukała, ale wiadomość o śmierci mojego syna przypawiła mnie o ciężką cho-

robę... Przez trzy miesiące walczyłam ze śmiercią... I dopiero teraz, kiedy już liście z drzew opadają, danem mi było odwiedzić grób mego chłopca...

— Pani dawno przyjechała do Londynu? — zapytała Alicya, aby coś powiedzieć.

— Dzisiaj rano. Byłam już na cmentarzu, potem w domu Mortonów... Nie mogłam jednak opuścić Londynu, nie widząc pani... Wszak pani była ostatnią osobą, która rozmawiała z Robertem...

— Tak... ja byłam ostatnią... — wybąkała Alicya.

Po chwili dodała głośnie:

— Miss Morton zapewne opowiadała pani o mnie?

— Powiedziała mi o pani tyle dobrych rzeczy, że ze skrucą wyznałam, iż muszę wstydzić się moich przesądów, które w stosunku do pani żywiłam...

Alicya uśmiechnęła się smutnie:

— Cóż to dziwnego?... Opinia publiczna nie zna różnic między aktorami i wszyskie rzeczy mierzy jedną miarą...

— Tem trudniej wyzbyć się tych poglądów zastarzanych na głębokiej wsi albo tam w lnyach...

— Wiele z moich koleżanek podtrzymuje te przesady swoim postępowaniem!

— Ale pani jest zupełnie inną, godną szacunku kobietą! Mis Morton otworzyła mi oczy i dlatego zapragnęłam się widzieć z panią... Wszak pani odczuwa i podziela mój ból...

Alicya nie podnosiła głowy. Oczy jej uporczywie uciekały przed oczyma matki Roberta.

— O! gdyby pani wiedziała, ilem wycierpiała... Ale najstarsze tkwi w tem, że niewinni ludzie cierpią również przez to...

— Pani ma na myśli Mortona, który niegdyś był przyjacielem Roberta?... Tak, trzeba współczuć temu nieszczęśliwemu bo choć jego ręka zabiła mi syna, ale nie działała kierowaną świadomą wolą... To było tylko ślepe narzędzie...

— Więc pani istotnie wierzy w to, że on zabił...

— Potem, co mi mówiła jego siostra — nie mam już wątpliwości... Ale powtarzam, nie potępiam go... On był tylko narzędziem w ręku prawdziwego winowajcy...

— Prawdziwego winowajcy... na miłość Boską!... kto to taki?!

Widoczne wzruszenie aktorki — przepełniało życzliwością dla niej serce pani Macmorris.

— Ona naprawdę kochała Roberta! — pomyślała i rzekła głośno:

— Droga miss Belmore, niech się pani uspokoi!... Trzeba się poddać woli Bożej!...

— Ale kto ten...

— Jakto nie wie pani... nie czytała pani dziełszych dzienników?...

— Jeszcze nie miałam czasu przejrzeć ich... jutro odjeżdżam do Ameryki... Ale kto to?... kto?!

— No ten hypnotyzer, który młodemu Mortonowi zasugerował zbrodnię... I w dodatku to nasz bliski krewny!...

— Haidred-din bey?!

— Ale skąd wpadli na ten pomysł?!

— Komisarz, który bada sprawę zamordowania oddawna już był na śladzie... Zeznania miss Molly, adwokata Thompsona i całego szeregu osób, które były świadkami seansu w Hotelu „Splendid“ potwierdziły podejrzenie... A zresztą czyż nie najlepiej świadczy fakt, że zaraz po morderstwie zniknął z Londynu, ukrywał się przez parę miesięcy a teraz wypłynął znowu i występuje ze swymi prawami do spadku... Istotnie!... śmierć mojego syna zapewniła mu spadek!...

— A zatem...

— Zatem rzecz jest jasną, że mając w tem swój cel, użył Mortona, jako najbardziej w tym wypadku podatnego medyum — do wykonania zbrodni... To nie pierwsza w dziejach kryminalistyki zbrodnia popełniona pod wpływem hypnozy...

Alicya ścisnęła ręką poręcz fotela, na którym siedziała:

— I... i... aresztowano go?...

— Naturalnie, ale trudno mu będzie cośkolwiek udowodnić. Oczywiście nie chce przyznać się do winy i twierdzi, że o rywalizacji i wrogim stosunku Roberta i Henryka Mortona nic wogóle nie wiedział!...

Staruszka, która dotychczas panowała po bohatersku nad swoim bólem, wybuchnęła płaczem:

— Boże mój! Boże!... — zakryła twarz rękami

— do nieszczęścia jeszcze hańba!... Boć właściwym zbrodniarzem jest człowiek, należący do naszej rodziny!...

Alicya przyklękła przed panią Macmorris i starała się oderwać jej ręce od łzami zalanej twarzy:

— Niech pani nie płacze, może ten człowiek jest niewinny... Tak, on z pewnością niewinny!... Tylko to takie straszne, że pani cierpieć musi...

Nieszczęśliwa matka, przesunęła pieściotliwie dłoń po bujnych, miękkich włosach aktorki.

— Jaka pani dobra!... Rozumiem teraz, że syn mój musiał kochać panią!

— Kochać!... — powtórzyła Alicya, nie powstając z klęczek — wierzyłam w to niegdyś!... O! bodaj to nigdy się nie stało!...

— Kochał panią bardzo!... — ciągnęła dalej staruszka — i pomyśleć że umarł na progu wymazonego szczęścia... że śmierć porwała go jako twego narzeczonego!...

— Narzeczonego?!

— Alicya uczuła, że cała krew spływa jej do serca.

— No tak, czyście się jeszcze wówczas nie zaręczyli?...

— Zaręczyli?!

— żrenice Alicyi rozwarły się szeroko — on nigdy nie wymówił tego słowa!...

— W takim razie śmierć mu przeszkodziła!...

— Na rany Chrystusa!... co to ma znaczyć?!

Rysy Alicyi ściągnęły się konwulsyjnym skurczem:

— Czy pani słyszała już moje nazwisko przedtem, zanim pani o mnie mówiła miss Morton?!

— O! ileż razy... Robert w każdym liście wspominał mi o pani... zachwycił się pięknoscia, talentem, inteligencją, a przede wszystkim dobrocią i czystością charakteru. I ostatecznie udało mi się złamać jego opór... Dałam mu moje przyzwolenie na wasze małżeństwo i zapewne na kilka dni przed śmiercią list mój otrzymał...

— Szaleństwo błysnęło w oczach Alicyi. Ostatnia kropla krwi uciekła z jej lic. Wyglądała w tej chwili jak uosobienie bezkresnej rozpaczy...

Z piersi jej wyrwał się jęk głuchy...

— Więc... on naprawdę... kochał mnie... chciał mnie uczynić swą żoną, a ja... ja go zabiłam!...

Alicya Belmore upadła zemdlna u stóp nieszczęśliwej matki.

## ROZDZIAŁ X.

### Czyja wina?

Promień bladego słońca listopadowego przedarł się przez zakratowane okno i przesunął się jasną smugą po ciemnej powierzchni więziennego koca, pod którym spoczywała Alicya Belmore...

Blask zbudził ją. Otworzyła oczy smutne, znużone. Miała sen piękny: — śniła, że syją się jej pod nogi kwiaty, na scenę cały deszcz kwiatów i że cała sala trzęsie się od okłasków i okrzyków: „Belmore!... Belmore!...”. A wśród tego tłumy rozentuzjowanego widnieją pięknie głowa Roberta, oczy jego spoglądają na nią z bezmierną miłością, a w dłoni widnieją cudne, ponsowe róże... Zbliża się ku niej, zbliża... już jest tuż... już dotknąć miał jej ręki, gdy nagle sen rozwił się, a Alicya przywołana została do okrutnej rzeczywistości.

Dzisiaj stanąć miała przed sądem... dzisiaj sędziowie przysięgli ogłoszą wyrok na zabójczynię... Dzisiaj — w tym samym dniu, w którym wystąpić winna była po raz pierwszy na wielkiej scenie w Nowym Yorku...

I nie tylko wspomnienie przelanej krwi ciążyło na jej sumieniu, ale obraz nieszczęśliwej matki Roberta stał ciągle przed oczyma. Ta szlachetna chciała wielkodusznie przebaczyć kobiecie, która zabiła jej syna... Widziała że rozpac jest równie wielką jak winą.

Ale Alicya skoro się zbudziła ze swego omi dlenia, nie chciała nawet słyszeć o bezkarności dalszej swego czynu... Zabiła — więc odpokutować musiała!... Niepodobna pozwolić, aby niewinni ludzie cierpieli za jej zbrodnię!...

Sama wysłała telegram do Nowego Yorku z zawiadomieniem, że przybyć nie może, a potem udała się do sędziego śledczego, aby przed nim wyznać całą prawdę... Oczywiście na skutek tego wyznania wypuszczono natychmiast na wolność Mortona i hypnotyzera...

I dziś dzieje sądu...

O godzinie 8-mej zjawili się policyanci, którzy zaprowadzili Alicyę do zamkniętej doróżki, która zawieść ją miała do sądu...

(Ciąg dalszy nastąpi).